№ 7. Warszawa, dnia 15 (3) Lutego 1896 roku. Rok XXXVIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. **1.**
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. **1** kop. **25.**

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. **2.** Na prowincyi złr. **2** cent. **30.**
W Poznaniu
Kwartalnie marek **3.** Na prowincyi mar. **3** pf. **50.**
Cena ogłoszeń. Za jeden wiersz petitem kop. **12.**

Warszawa, w Lutym 1896 r.

Na przekorę ruchowi karnawałowemu, nie słabnie w Warszawie energia urządzających odczyty, i co bardzo ważne, nie zmniejsza się ze strony publiczności ochota dostarczenia każdemu z prelegentów należytego kontyngensu słuchaczy.

Pan Łętowski w sekcyi rzemieślniczej tłómaczył swojemu audytoryum znaczenie syndykatów w przemyśle, wskazywał początek tej formy stowarzyszania się, objaśniał jej strony dodatnie i ujemne. Było tam sporo myśli godnych spopularyzowania, korzyści też z upowszechniania tych wiadomości między tą częścią ludności, dla której odczyt był przeznaczony, można się spodziewać niewątpliwych.

Pan Umiński mówił o wpływie zwierząt na rozwój cywilizacyjny człowieka. Cały obszerny bardzo materyał zużytkował prelegent nader umiejętnie do swojego założenia; słuchacz czuł się zainteresowany przedmiotem od początku do końca, i opuszczał salę z tem uczuciem zadowolenia, jaką daje synteza faktów i zjawisk usprawiedliwiających tezę w zupełności.

Dr. Zofia Jotejko za przedmiot wzięła sobie filozoficzne i fizyologiczne znaczenie komórki w organizmach. Trafności w wyborze tematu powinszować należy prelegentce szczerze — wywiązania się z zadania również. Dodajmy do tego sympatyczny nastrój, którym wita nasze miasto każdą ukończoną naukową karyerę niewieścią, a będziemy mieć objaśnionym zupełnie entuzyastyczny oklask publiczny, jakim dziękowało audytoryum p. Jotejko.

Sympatyczny cel, dla którego organizuje komitet damski odczyty w sali muzeum Przemysłu, przypomina nam w tej chwili inny, niemniej godny zainteresowania ogólnego — cel, w imię którego odwołuje się do Warszawy i prowincyi prezydyum Towarzystwa osad rolnych za pośrednictwem redakcyj pism codziennych i tygodniowych. Idzie o przytułek poprawczo-wychowawczy, urządzony przez zarząd Towarzystwa osad rolnych dla dziewcząt skazanych sądownie, albo zaniedbanych moralnie w osadzie Puszcza w pobliżu Radziwiłłowa. Pomieszczono ten przytułek, urządzony zrazu na dwanaście wychowanek, w budynku starym—ze względów sanitarnych zupełnie nie odpowiednim, a nadto obszernością nie dopuszczającym myśli dalszego rozwoju instytucyi. Napływ stopniowy zawyrokowanych, których obecnie liczy Puszcza siedmnaście, zmusił zarząd do pomyślenia o budowie specyalnej, mogącej pomieścić przewidywaną ilość pięćdziesięciu dziewcząt, a koszta jej wyanszlagował projekt budowniczego na 12 tysięcy rubli. Wpłynęło dotąd z ofiarności publicznej 5,400 rubli, a na resztującą kwotę 6,600 oczekuje zarząd z rozpoczęciem budowli, nie tając przed ogółem kłopotliwego położenia instytucyi, nietylko powstrzymywanej w rozwoju swoim tym niedoborem, ale nawet jak na teraz, poważnie bardzo zagrożonej.

Jużci chyba temu przytułkowi należy się poparcie. Kwota zresztą nie jest wygórowaną, jeżeli się weźmie pod uwagę ważność zadania, a dostarczenie jej nie wydaje nam się trudnem dla społeczności chętnej jak nasza do przyjścia z pomocą wszelkim tego rodzaju usiłowaniom. Ufamy też, że przed wiosną Towarzystwo osad rolnych będzie w posiadaniu całej potrzebnej sumy.

Z karnawału nie wiele wam powiedzieć możemy czytelniczki, oprócz tego że ten karnawał rusza się, hałasuje, nie daje wysypiać się swoim czcicielom, a nadewszystko ofiarom tych czcicieli, w poczet których zaliczyć wypada rodziców, mężów i lokatorów mieszkających o piętro niżej. Przyznać trzeba że ci ostatni mniej cierpią w roku bież., niż w innych latach, bo zabawa przenosi się na dobre z domu do sal ratuszowych, resursowych i klubowych. Z tego też powodu bywa czasem trochę narzekań po pismach podających sumiennie sprawozdania ze wszelkich karnawałowych uroczystości.

Takie właśnie utyskiwania czytała Warszawa w zeszłym tygodniu z okazyi balu na Przytulisko. Jakaś dama zaopatrzona w bilet wejścia formalny zupełnie, zamąciła tam podobno harmonią bawiących się swoim kostyumem ekscentrycznym, który może ze względów oszczędnościowych, a może innych jakich, był bardzo, bardzo niedostateczny. W tem dopatrzyło się towarzystwo zebrane obrazy jakiejś dla kobiet obecnych w sali. Ściśle biorąc, obrazy nie było, a już z pewnością dla kobiet szanujących się nie było żadnej; była może intencya obrazy, ale chyba pod adresem mężczyzn, o których przedsiębiorczości i energii ta osoba miała bardzo nieszczególne pojęcie, no i co prawda nie zawiodła się wcale, bo ostatecznie pozwolono jej zostać tak długo jak chciała, gapiono się na nią, a nie znalazł się nikt, którym załatwił się z tą mącicielką publicznej przystojności szybko a radykalnie — tak jednem słowem jakby się godziło.

Podaje nam też jedno z pism wiadomość, którą na jego odpowiedzialność powtarzamy tutaj, przyznając z góry, że nam się wydaje dziwną, a nawet mało prawdopodobną. Chciano założyć u nas czytelnię dla szwaczek i zbierając materyały potemu przekonano się, że trzy czwarte kobiet oddających się tej profesyi nie umie czytać; a jest ich razem 18,000. Ta reszta zaś, która czyta i posiłkuje się czytelniami warszawskiego Towarzystwa dobroczynności, zdradza przy wyborze książek upodobanie najekscentryczniejsze, odrzuca książki nasze, a szuka tłómaczonych francuzkich i t. d., i t. d. Co do tak wielkiej liczby nieczytających, wyrażamy ponownie wątpliwości

nasze, co zaś do gustów literackich tych biedaczek—dajmy im lepiej pokój, nie dziwujmy się temu, nie udajmy oburzonych, bo my nie z takimi tylko gustami spotykamy się nb. nie wpośród tych, którzy zaledwie czytać umieją, ale między ludźmi piszącymi a nawet robiącymi tak zwaną opinią.

Niedawno oto w tej samej kronice przypominając figielki naszych kierunków krańcowych, wspominaliśmy i o takim głosie jednym, który ubolewał ongi nad tem, że Sienkiewicz karyery swojej literackiej na „Szkicach węglem" nie skończył. Przyznać trzeba, że był to szmermel w swoim czasie nie lada, ale my tym razem robiliśmy sobie wyrzut pewien za przypominanie go pamięci ogółu, bo ostatecznie wstydzi się człowiek pojedyńczy czy grupa jakaś ludzi po latach, wszelkiej w epoce swojej niedojrzałości wypowiedzianej bredni.

Niepotrzebne, jak się pokazało, brały nas skrupuły, bo oto jak gdybyśmy zbudzili drzemiące licho, to samo pismo przed tygodniem wyjechało raz jeszcze na popis z tym samym sądem swoim.

Nieprawdopodobne a prawdziwe! To też tym razem już, ani się dziwimy ani gorszymy, tylko wobec tego, pospolitość gustów takiego biedactwa jak szwaczki warszawskie, koniecznie w niewidzialność zblednąć nam musi.

A. S.

St. Ariel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy.)

— Bóg?... Bóg?... — podchwyciła w myśli. — Alboż ja wiem, czy *On* życie daje? Czy istnieje? Gdzie ta dusza nieśmiertelna?... A może też człowiek zdoła wlać kiedyś tchnienie w materyą? — z powątpiewaniem powtarzała, niejedno zachwyciwszy z kwestyj filozoficzno-przyrodniczych.

W gruncie rzeczy sprawy podobnie jak ta oderwane, nieujęte, wcale nie zajmowały jej umysłu. Wpadały tam przelotnie jak wszystko, co zaprzątało ludzkie mózgi, a o jej bystrość i pojętność także zahaczało, ale uchodziły rychło, jako idee pozbawione dla niej spójni z życiem realnem, które ją pochłaniało bezwzględnie,ześrodkowując się przeważnie w tem, co stanowiło treść chwili.

Stała zadumana teraz, ale z innego powodu. Oto gdy spotykała się z głęboką szczerością wiary i zapału, lub poprostu z gorętszem odczuciem jakiemkolwiek, przewyższającem natężeniem swojem ten stopień, na jaki ona zdobyć się mogła, wówczas zastanawiała się nad tym objawem i nad sobą. Znała bowiem dobrze swe usposobienie, a zwłaszcza ową żądzę pochłaniania wrażeń, zbliżającą ją ustrojem do roślin, wszystkiemi porami wsiąkliwej tkanki wsysających pokarm nietylko z ziemi, ale ze słońca i powietrza także.

— Pan chyba naprawdę nie Polak rodem? — rzekła po chwili, tym razem widocznie wywnioskowawszy, iż całą różnicę w uczuciach i poglądach stanowi tu właściwość krwi i pochodzenia, dzięki rozpowszechnionym pojęciom o synach Italii, którzy przy wrodzonym zapale do piękna żywią i gorącą religijną wiarę.

— O tak! Jestem Włochem, choć w Warszawie wychowanym, i ojczyzny mojej nie pamiętam—odparł Pietro z nagłem ożywieniem w twarzy. — Ale tęsknota za jej błękitnem niebem i bogactwem sztuki tkwi we mnie tak nieugaszona, iż nie wątpię, że się tam kiedyś dostanę, i w tej nadziei czerpię wiele chęci do życia i pracy.

— Tylko w tem wyłącznie?—z zalotnem przymrużeniem oczu zagadnęła Ada — Wszakżeż artyści potrzebują coraz świeżych podniet i wrażeń, a nawet mają podobno odrębnej budowy serca?

Pietro zatrzymał na niej wzrok badawczy.

Oczytana zaś Hela przytoczyła wnet kilka nazwisk sławnych artystów, których miłości, z późnych lat życia, przeszły do historyi. W ten sposób starała się poprzeć zdanie przyjaciółki.

Na wspomnienie Michała Anioła, Pietro drgnął zlekka i brwi ściągnął chmurnie.

— Miłość dla kobiety—zaczął z przejęciem, — jest istotnie w artyście nietylko iskrą co proch zapala, lecz i ogniem długotrwałym, który wulkanom życie daje. W tym zaś rozdźwięku między sercem i duchem, które lat nie znają, a zewnętrzną powłoką, jaką czas zużywa, tkwi często kroć wielki i bolesny dramat — dokończył głucho, lubo ze śmiałem spojrzeniem człowieka, który nie zwykł prawdy zakrywać, ani przystrajać.

— Gdybym miał jednak choć dwadzieścia lat mniej!... gdybym miał! — przemknęło mu nagle przez ciało falą ciepłą, a przez duszę bezmierną tęsknotą i pragnieniem, które jak przypływ upajających woni majowych, objęło go łaskocząc tak, że aż oczy na moment zmrużył odurzony.

Ada ciekawie śledziła zmiany zachodzące w jego twarzy, i wprost instynktem, nietylko przenikliwością odczuwała to rozniecanie się ognia, który tak ją zawsze i wszędzie pociągał, nawet gdy nie był płomieniem miłości.

To też gdy Pietro po chwili podniósł ku niej wzrok smętnie rozmarzony, poznała z czegoś, co w niewypowiedziany sposób ją przejęło, że tu się żarzewie rozdmuchać może, i uśmiechnęła się zadowolona.

Wogóle nie znała ona głębin życia z jego bólami i namiętnościami, równie jak istotnej natury człowieka. Wszystko, co do jej świadomości doszło, co nawet przez własne przebyte w sieroctwie koleje o nią się obiło, nie sięgało jeszcze do rdzenia walk życiowych. Zresztą od dzieciństwa pozwalając egoistycznym popędom brać w sobie górę, tak się urobiła, by jeno ślizgać się po powierzchni faktów, a jakkolwiek pusta ciekawość zajrzenia wewnątrz znalazła się niekiedy, nie towarzyszyło jej przewidywanie zobaczenia tam krwawych na śmierć zapasów. Właściwie sądziła wszystko z punktu własnego sposobu odczuwania wrażeń.

Miłość poczytywała za powszechną sprężynę spraw i postępków człowieka, pojmowała ją wszakże tylko jako powab do wszelkich czynności przydany—jako psotny „budzik," mile łechcący, nieodzowny w zetknięciu kobiet z mężczyznami i wogóle w stosunkach ludzkich, które pozbawione tej podniety, traciły urok, niemal cel i prawo bytu, a przynajmniej równały społeczeństwo z hordami półzwierzęcych plemion dzikich.

Tym więc sposobem miłość utożsamiała się dla niej i łączyła z wykwintem życia, form, przyjemności i używania bez groźnych następstw. A tak daleką była od dramatów bólem szarpiących wnętrzności, że koniecznie stawała się w jej pojęciach ta walka jedynie fechtunkową szermierką na stępione miecze i z siatką na twarzy — istną „grą floretów" z łagodzącemi cięcia na końcach ostrzy gałkami.

Przy takiej też pewności siebie oczywiście tem chętniej zbierała i rozsiewała owe „zabawki" i „ozdoby," które uczuciami zwały się w jej rozumieniu, wcale nie pytając, ile krwawego serc żaru inni w ożywienie dla niej tych igraszek wlewali.

I teraz słuchając Pietra, pomyślała z przyjemnością: „Pokocha mnie i będę w końcu Beatryczą jakiegoś artysty."

Wiek tego człowieka, jego stanowisko materyalne i społeczne—względy, które byłaby w innem położeniu brała pod uwagę, tu jako u kapłana sztuki nie obchodziły jej wcale.

Powierzchowność wydawała jej się wcale piękną, zwłaszcza przez szlachetny wyraz niepodległości dusz, które umieją żyć światem uczuć i dążeń samoistnie stworzonych, a nazwisko jako wybitne znała ze sprawozdań i wystaw. To jej wystarczało.

Poczęła więc pod wpływem tej miłej nadziei na seryo umawiać się o lekcye, które Pietro musiał wszakże odkładać na później, wskutek nadmiaru zajęcia na razie.

Pomiarkowawszy jednak, że panny do odejścia się zabierają, a bezwiednie pragnąc je zatrzymać, Vico nagle zaofiarował się pokazać to wyidealizowane kucie w marmurze.

Skinął też na „Giana," który w kącie stał nakształt brunatnego posągu z terrakoty, kazał mu poświecić, i szybko chwytając rylec, począł przykładać go do bryły kamienia już w robocie, i silnie, miarowo uderzać młotem.

Dźwięk krótki, urywany rozległ się, iskrzące źdźbła i cząstki rozpryskiwały, opylając ramiona, piersi, nawet włosy artysty.

Panny patrzyły ciekawie.

— O, teraz pojmuję, jaka to sztuka wielka módz z tak twardego materyału wykrzesać jednak powiewne kształty! — zawołała Ada.

Pietro zaś opuściwszy ręce, dumnie spojrzał na nią i bujnymi włosami wstrząsnął, jak lew grzywą, zadowolony z siebie.

— A co z tego będzie? — zagadnęła Hela.

— Amor i Psyche, grupa już zamówiona do salonów przyszłej młodej pary, przez pana Roger z Mirowa, który córkę wydaje za mąż — obojętnie mówił Vico.

— Za kogo? — natarczywie podchwyciła Ada.

— Za obecnego wspólnika swego, czy pomocnika. Pana... pana...

— Orońskiego? Janusza? — pytała gwałtownie.

— Tak, tak.

— Czy podobna?! Pan się chyba myli!

— Nie sądzę. Człowiek młody, z bardzo dobrej rodziny i podobno wielkich przymiotów.

— To mój krewny! — wykrzyknęła Ada. — Helo, wiesz! Lecz wyobraź sobie, że mi nic o swych zamiarach nie wspomniał! — rzuciła cała zaperzona.

W oka mgnieniu jednak się roześmiała, lubo nie szczerze.

— A to niespodzianka! Trzeba teraz wet zawet spłatać kuzynowi figla,—mówiła chcąc przez

ambicyą w żart przemienić oburzenie. — Czy pan nie mógłby tej grupy sprzedać mi dziś, odrazu?

Pietro się zakłopotał.

— Nieskończona — odparł, lękając się odmową obrazić. — mógłbym inną podobną wykonać.

Ada zamyśliła się, rozdymając ruchome nozdrza swego garbatego noska.

— To zresztą mniejsza z tem! — rzekła. — Gdy zechcę to i tak powiem Januszowi, że grupę tę nabyłam i zabiorę.

I nic nie tłómacząc, poczęła natychmiast się żegnać, zapomniawszy ostatecznych o lekcye układów.

Pietro śledził wzrokiem żywą grę jej rysów i blaski oczu, które aż czarno-złotymi stały się z poruszenia i popadł w zamyślenie chwilowe. Poruszał się automatycznie, i dopiero gdy Ada za drzwiami niknęła, oprzytomniał, i ze świecą w ręku odprowadził panny aż do ogrodowego wyjścia.

— O, gdyby ta „Psyche" z gliny była, jużby z niej tylko czerepy leżały tam w pracowni — wybuchnęła Ada, gdy zostały same.

— E! stałaby w całości, ręczę ci! — żartowała Hela, znając jej skłonność do uniesień i mimowolnej przesady w słowach.

Ada wszelako naprawdę była podrażniona i tak pochłonięta ową wiadomością o małżeństwie Janusza, iż wbrew zwyczajowi, nie „przeżuwała" ostatniej, świeżej karmy, danej nerwom, zapomniawszy nawet o roli „Beatryczy" i przebłyskach zachwytów Pietra, które już nanizała na pajęcze nici nadziei nowych „flirtów." A natomiast z niepokojem obrabiała myślą pobudki, dla których Janusz uczynił przed nią tajemnicę i podniecała się w ciekawości a oburzeniu.

To też gdy wpadła do siebie na górę, i na zwykłe pytanie rzucone służącej usłyszała, jakby przez złośliwy żart losu, że „pan Oroński" był przed godziną, krew aż do głowy jej uderzyła.

— I co? I odjechał?... przeklęta wyprawa!

— Nie; powiedział, że jeśli nie pójdzie do teatru, to zajrzy po ósmej.

— A teraz która?

— Punkt ósma.

Ada puściła zatrzymany w piersi oddech.

— Daj mi prędko suknię pąsową, wiesz? tę długą, ta pobłocona, śpiesz się! i pantofelki! — rozkazała, przebiegając do drugiego pokoju, który był jej sypialnią i garderobą. W oka mgnieniu strój zmieniła.

A tak ucieszona była nadzieją zobaczenia Janusza zaraz, że zaczepne jej usposobienie rozproszyło się w większej części, do czego dopomógł ruch i starania toaletowe.

Gdy w kilkanaście minut potem Oroński wchodził, witała go z wyraźną uciechą i uznała za stosowne raczej ująć uprzejmością, niż razić wymówkami na wstępie samym.

Rozmowa potoczyła się przeto między niemi odrazu z braterską swobodą, bezświadomie dla Ady miłą i rozgrzewającą, a wprost pożądaną dla serca Janusza, spragnionego ciepłych uczuć, których mu los odmawiał od wczesnej młodości.

Cofnął się on w opowiadaniu swojem do epizodów z pobytu za granicą i malował częste walki z niedostatkiem materyalnym, który przy szczupłych zasiłkach od stryja czuć mu się dawał. Nie taił nawet tego, że chcąc sobie przysporzyć środków, podejmował nieraz prace ciężkie i grube na równi z prostymi robotnikami, albo pełnił nocne dyżury przy maszynach.

Opowiadanie swe przesnuwał z zupełną prostotą, niemal od niechcenia, wiedział bowiem, że wielu młodych cięższe koleje przechodziło od niego.

A w słowach jego brzmiała śmiałość i gotowość do czynu, jakiś stalowy dźwięk zahartowanego charakteru i woli, męzka siła, która często sama wystarcza, aby kobietę popchnąć ku mężczyznie.

Ada odczuwała to instynktem, jak przy pierwszej rozmowie, gdy nieświadomie odgadywała jego wyższość nad sobą. Ale opór przeciw tej przypuszczalnej przewadze i prawdopodobnej porażce własnej podwoił się w niej obecnie ze zdwojoną siłą, lubo dłużej łamał się z miękkością, ogarniającą ją nakształt rozrzewnienia.

Nagle się roześmiała. Poczem przechyliwszy się na poduszkach kanapy, obie ręce podsunęła pod głowę swobodnym ruchem, i poczęła mówić jakby każde słowo odważając:

— Jednak czas, ten czas nieubłagany i mądry nauczył cię znakomicie „przystosowywać się" do warunków życia. Przed kilkoma laty nie chciałeś stryja prosić o zwiększenie pensyi udzielanej jako pożyczki, i pracowałeś jak prosty robotnik dla zyskania kilkunastu rubli, a dziś, dziś bez musu żenisz się... chyba... chyba tylko dla majątku.

Oroński zbladł i stanął, jak po wymierzeniu policzka. Nie był w możności dobyć głosu.

Ona tymczasem już poderwała się żywo na miejscu, przyczem jej egipski „skarabeusz" uwięziony w srebrnym dzwonku, przy nieodłącznej bransoletce, zabrzęczał od gwałtownego ruchu.

— Ciekawam tylko dlaczego ta tajemnica? — zapytała. — Czemu nie powiedziałeś mi, żeś zaręczony? Przecież nie jest to fakt świeży, który miałbyś zamiar obecnie mi oznajmić, jako nowinę?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z nauki czystej i stosowanej.

Odkrycie Roentgena. — Obrazy fantazyjne.

Prof. Roentgen z Würzburga robił w swojem laboratoryum doświadczenia nad świeceniem pewnych substancyi pod wpływem iskry elektrycznej, przepuszczanej przez kulę z mocno rozrzedzonem powietrzem, i spostrzegł ze zdziwieniem, że papier, pokryty cyankiem platynobarytowym fluoryzuje nawet wtedy, gdy jest oddzielony od kuli tekturą lub drzewem.

Dowodzi to, że światło, jakie widzimy wewnątrz rurki Crooksa, zawiera oprócz zwykle obserwowanych promieni jeszcze jakieś inne, nie działające na nasze oko a obdarzone dziwną własnością przenikania drzewa i tektury.

Fakt ten skłonił profesora R. do przedsięwzięcia badań, z których nauka odniesie niezawodnie wielki pożytek.

Oto, jak się przedstawiają zdobycze najnowsze w tym kierunku:

Promienie Roentgena przenikają mniej lub bardziej wszystkie nieprzezroczyste ciała, zależnie od ich gęstości, najlepiej muskuły, drzewo, papier, kauczuk, gorzej kości, mury, blachy aluminium, najgorzej zaś żelazo, miedź, srebro a zwłaszcza złoto.

Działają one nadto podobnie, jak zwyczajne światło, na fotograficzną kliszę, chociaż ta znajduje się w kasecie drewnianej, za książką, za drzwiami w drugim pokoju, jest przykryta blachą, ręką i t. d.

Dzięki tej ważnej okoliczności zdołano otrzymać fotografię ręki, leżącej na kasecie. Źle powiedzieliśmy—zdjęcie szkieletu ręki; nieznane światło przenika bowiem ciało, a zatrzymuje się na kościach, te więc rzucają pewien rodzaj cienia, który utrwala się na płycie.

Tak samo można fotografować niewidzialne przedmioty, znajdujące się w drewnianych pudełkach, np. łańcuszek od zegarka, ciężarki mosiężne do ważenia, biżuteryę, a nawet kule i odłamki granatu w ciele ludzkiem.

Zdjęcia dokonane przez Roentgena i innych uczonych, którzy sprawdzali jego odkrycie, obiegają świat cały, i budzą wszędzie podziw.

Pomyślcie tylko, szanowne czytelniczki, jakie wrażenie sprawia widok swego własnego szkieletu lub czaszki, zwłaszcza, jeżeli chodzi o szkielet pięknej kobiety. Dr. Kiessling z Berlina zdołał nawet zdjąć w ten sposób udo ludzkie i oskubane kurczę, ktoś inny rybę i mysz.

Zdaje się, że na takiej fotografii, stosownie do siły promieni Roentgena, mogą wychodzić nie tylko kości ale i ścięgna, a nawet położone głębiej wewnętrzne organy. Jeżeli rzeczywiście tak jest, to chirurgia otrzyma w niezbadanym czynniku potężnego sprzymierzeńca. Dziś już dokonano sporo szczęśliwych operacyi wydobycia kuli, igły, ostrza noża, dzięki temu, że nowego rodzaju fotografia wskazała odrazu miejsce, gdzie tkwiły obce ciała w organizmie.

Stwierdzono nawet istnienie narośli w jamie brzusznej, skrzywienie słupa kręgowego i inne tym podobne nienaturalności, bez uciekania się do zwykłych sposobów dyagnostycznych.

Uczeni łamią sobie obecnie głowę nad rozwiązaniem kwestyi, czem są istotnie owe cudowne promienie, które zachowują się tak oryginalnie.

Światłem?

Prawdopodobnie nie, bo nie podlegają prawom rządzącym tem ostatniem. Roentgen przekonał się, że nie załamują się one w soczewkach z żadnego materyału, nawet kauczuku i metalu, dalej nie rozszczepiają się, co jest następstwem poprzedniego faktu, nie odbijają od zwierciadeł, magnes nie odchyla ich od pierwotnego kierunku, tak jak promieni, wychodzących ze zwyczajnej rurki Gejslera.

Tymczasem zaś niewidzialna część widma słonecznego, nazwana pozafioletową, lub aktyniczną, posiada wysoką załamliwość.

Prof. R. postawił hypotezę, podług której nowe promienie tem się różnią od zwykłego światła, że drgania w nich są podłużne, jak w drganiu głosowem, a nie poprzeczne, jak w fali świetlnej.

Czy jednak uczony prof. ma słuszność? Może nie, bo oto dochodzą nas wiadomości o pracach francuzkiego fizyka p. Le Bon.

Oddaje się on podobno od dwóch lat już badaniom nad przenikliwością światła, i doszedł do rezultatów niemniej dziwnych; światło słoneczne, elektryczne, iskra elektryczna rozmaitej postaci a nawet zwykłe lampy gazowe, wysyłają, podług niego, obok widzialnych promieni także i niewidzialne, a najciekawszem jest że, pewna część ich przechodzi przez ciała, które my nazywamy nieprze-

zroczystemi. Ową cudowną własność posiadają więc nietylko katodyczne promienie Roentgena, wychodzące z bieguna odjemnego rurki, lub jajka Crooksa.

Na dowód tego p. Le Bon pokazywał podobno fotografie, otrzymane przez grube płyty metalowe; klisza była eksponowana przez parę godzin na słonecznem świetle, chociaż doświadczenie udaje się także i przy sztucznem oświetleniu np. przy lampie, gazie, etc.

Z tego wszystkiego wynika, że oko nasze łudzi nas, że nie można mu ufać, że to co nazywamy „nieprzezroczystością,” w rzeczywistości nie istnieje, lecz pochodzi ztąd, że wzrok nasz nie dostrzega poprostu promieni, przenikających ciało.

Prace Le Bona i innych uczonych rozszerzają znakomicie odkrycie Roentgena, i usuwają zeń cudowność. Fakty mnożą się z dniem każdym, gdyż *promienie X*, jak je ochrzcił prof. würzburski, a głównie fotografowanie niewidzialnych rzeczy, narobiło niesłychanej wrzawy w świecie. Praktyka w lot je chwyta, i stosuje do swych celów.

Do ciekawej tej kwestyi powrócimy prawdopodobnie, skoro tylko znajdzie się po temu sposobność.

Okazuje się, że przed Roentgenem doświadczenia podobne robili Zenger, Dobrzyński i inni uczeni. Nie potrafili oni jednak ocenić doniosłości ich, i dlatego pierwszeństwo, a raczej zaszczyt odkrycia promieni X należy się Roentgenowi.

Obrazy bardzo oryginalnej natury możemy wywoływać przy pomocy zwyczajnej kuli szklanej, nie są one jednak rzeczywiste, jak w cynematografie, lecz urojone, zaczerpnięte wprost z naszego mózgu.

Amerykanie nazwali je bardzo trafnie „the fantasm of imagination,” co znaczy widma wyobraźni. Psychologowie zaliczają je do halucynacyi, spowodowanych u osób mniej lub bardziej nerwowych, skupieniem uwagi.

Pragnąc je wywołać, bierzemy zwyczajną, przezroczystą kulę szklaną, podobną do tych, jakie są używane do przycisków na biurku, lecz nie zawierającą żadnych kolorowych żyłek, piórek, etc.

Taka kula, osadzona na podstawce, odbija otaczające przedmioty, ale tak niewyraźnie, że trudno je rozeznać.

Wpatrujemy się w nią uważnie przez pewien czas a niebawem spostrzegamy jakieś obrazy, wypływające jakby z pośród mgły, z początku są one nikłe, lecz niebawem, nabierają wyrazistości w miarę tego, jak coraz bardziej będziemy się w nie zagłębiali i zapominali o naszem otoczeniu rzeczywistem.

Ostatecznie, po upływie pewnego czasu, długość którego zależy od wrażliwości osoby, robiącej doświadczenie, stają się one tak jasne, że z łatwością moglibyśmy je przerysować.

Treść tych obrazów jest w zupełności zależną od stanu naszego umysłu: raz widzimy przesuwające się przed nami krajobrazy, których nigdy nie oglądaliśmy, to znów jakieś epizody, to osoby, to wreszcie całe sceny, zupełnie jak we śnie. Z głębi naszej imaginacyi wypływają w pole świadomości najrozmaitsze przedmioty, których wszakże nie jesteśmy w stanie dotknąć; przez chwilę odrywamy się od świata materyalnego, aby się przenieść do urojonego, a raczej do wymarzonego. Dzieje się z nami to samo zupełnie, co z osobą znajdującą się we śnie hypnotycznym t. j. doznajemy suggestyi.

Poznaliśmy nagi fakt, teraz zobaczymy, jak go tłómaczy psychofizyologia.

Przedewszystkiem musimy zaznaczyć, że kula szklana jest tylko, że się tak wyrazimy, pretekstem dla naszej wyobraźni. Doświadczenie takie można wykonać jednak i z innym podobnym przedmiotem, jak korkiem od flakonu, rurą szklaną, kryształem od żyrandola, okrągłą karafką pełną wody i t. d. Obrazy wywołuje podniecenie wyobraźni z natury wrażliwej, jak to każda z naszych czytelniczek może łatwo sprawdzić na sobie.

Zresztą po co sprawdzać, kiedy panienki niedawno wykonywały podobne doświadczenia w wigilią ś-go Andrzeja, siedząc pomiędzy dwiema świecami naprzeciwko zwierciadełka.

Jeżeli którejkolwiek z dziewcząt udało się spostrzedz w lustrze jakąś postać męzką — domniemanego męża w przyszłości—to niech wie, że wywołała ją jej własna wyobraźnia podniecona i ciekawość.

Ci uczeni są nieznośni! Rozpraszają bez litości najpiękniejsze złudzenia! Nieprawdaż!?

Otóż zwierciadło, kula szklana i inne podobne przedmioty nie są nigdy zupełnie przezroczyste, znajdują się w nich delikatne skazy, stanowiące kanwę, na której nasza imaginacya haftuje najprzód pojedyncze rysy, potem zaś całe obrazy, dające zupełne złudzenie rzeczywistości.

O fakcie tym wiedział już zapewne sławny magik Cagliostro, który w jednej z powieści Dumasa ojca ukazuje przelękłej Maryi Antoninie szafot.

Współczesna psychologia wyświetliła go nam naukowo.

W. U.

V. C. Topsöe.

WE WRZEŚNIU.

Przekład z oryginału duńskiego.

(Ciąg dalszy)

II.

(Taż sama do tej samej).

6 Września.

A zatem prawdą jest, iż dopiero wtedy zaczyna się być egoistą, gdy się zostanie szczęśliwym. Z chęcią udziela się komuś, gdy się mało, lub niewiele posiada, lecz gdy przychodzi bogactwo nie mamy nic, ani szeląga do oddania innym.

Nie możesz poświęcić mi tych kilku dni, o które cię proszę, a wymawiasz się mężem i dziećmi, którzy cię zawsze mają przy sobie! Pogodziłam się już prawie z tym sędzią pokoju, co nam tu spadł ni ztąd, ni zowąd i zabrał mi moją najlepszą przyjaciółkę, która miała razem ze mną pozostać starą panną, zabrał ją i uwiózł do jakiejś handlowej mieściny, co bez najmniejszej racyi ulokowała się gdzieś, na ostatnim krańcu Falsteru, gdzie wcale nawet zakładać handlowego miasta nie należało. Pogodziłam się już z nim, jak powiadam do pewnego stopnia, i zaczęłam nawet odczuwać pewną słabostkę dla niego, ale teraz, wszystko to przeszło niepowrotnie i przyjaznych uczuć moich dlań doszukać się nie mogę!

Mówiąc seryo, choć wolę zwykle żartować, niż mówić poważnie, wiesz, jak bardzo cię kocham i trudno mi nawet wyrazić, jak często obejść się bez ciebie nie mogę.

W tym zaś dniu, który mi nie przyniesie nic, prócz przykrych i smutnych myśli, wyjątkowo pragnąć będę twej obecności, bo ta jedynie rozwiać i rozproszyć by je mogła. W przeszłym roku, dzień ten przeszedł mi jakoś dziwnie. Urządziłam się wtedy zupełnie inaczej. Muszę ci przyznać się, iż przyjaciółki moje i rówieśniczki zaczynają mię nudzić nie na żarty, lecz dnia tego zaprosiłam je wszystkie, to jest te, co nie wyszły jeszcze zamąż, na wycieczkę do lasu.

Po śniadaniu, które odbyło się w „Fortunie,” siedząc na wzgórzu, w altanie, cieszyłyśmy się rozległym, rozciągającym się ztamtąd widokiem, poczem poszłyśmy na spacer do lasu. Nastrój przy śniadaniu był wesoły i ożywiony; byłyśmy wszystkie mniej więcej w jednym wieku, a wiesz, iż apetyt zaczyna się wzmagać po trzydziestu leciech, tak że się nawet nie gardzi jedną i drugą szklaneczką wina, zatem usposobienie było doskonałe. Mówiłyśmy przy stole o moim wieku i wieku ludzkim w ogólności, a rozmowa ta jakby mimowolnie, wzbudziła w nas ochotę i potrzebę dowiedzenia samym sobie i innym, żeśmy jeszcze młode, zkąd wzięła początek niezwykła wesołość a nawet rozdokazywanie, które nie ustawało i na przechadzce w lesie. Zebrałyśmy się po to, by okazać ludziom, iż nie trapi nas ten wiek, iż nie chodzi nam o to, by nas miano za młode, tymczasem wkradło się nam cichaczem do serca uczucie, żeśmy jeszcze istotnie nie stare, że się czujemy w całej sile, i ta świadomość napełniła nas niewymowną radością.

Był to jasny, pogodny, dzień październikowy i na drodze naszej nie spotkałyśmy nikogo. Miałyśmy z sobą papierosy, któremi się częstowano nawzajem, zapaliłyśmy je i czuły wszystkie niepospolitą przyjemność, po obfitej przekąsce i czarnej kawie, w wypuszczaniu tych brzydkich, lecz zarazem wdzięcznych, błękitnawych smug i obłoczków, które w ciszy lasu snuły się około nas, pomiędzy drzewami. Droga doprowadziła nas do cichego jeziora, które leży, jak wiesz, nieopodal lasu.

Cudnem było ono dnia tego! Spokojne, bez ruchu, połyskujące srebrzysto w słońcu, a cisza drzew, otaczających je wkoło, miała w sobie coś czarującego.

Urok spokoju jesieni, przy całem jej miotaniu się i walkach, zdawał się być wcielonym w obraz, który miałyśmy przed oczyma. Pokładłyśmy się na trawie w pobliżu powalonego burzą drzewa, którego gałęzie wyciągały się daleko nad wodą. Harriet, która jak wiesz zawsze była tak żywą i przez całą drogę wyśpiewywała nam jakieś serenady, zawołała: „Trzebaby się nam wykąpać tutaj, byłaby to zupełnie scena ze starych obrazów, przedstawiająca nimfy, kąpiące się w cichem, zasłoniętem od oczu ludzkich jeziorze leśnem, byle nas nie podpatrzył jaki szczęśliwy śmiertelnik!” Zaśmiałyśmy się, wiedząc że to był żart, a ja dodałam: Trzydziestoletnie nimfy! byłoby też patrzeć na co! W tej samej chwili, gdy mi te słowa wymknęły się z ust, jakby cień jakiś zasnuł las, jezioro i nasze twarze!

Tak jak każde szklane naczynie, wyrobione z cienkiego i delikatnego materyału wydaje dźwięk odpowiedni tonowi, którego nagłe uderzenie doprowadza je do pęknięcia, tak nastrój i uczucia muszą mieć także ton jakiś, którego dotknięcie w niwecz je obraca. Nasze wesołe usposobienie, zadowolenie z siebie i życia, miało w tej chwili tyle siły i naprężenia, że skutek był natychmiastowym, przy lekkiem dotknięciu odpowiedniej struny, która decydujący ton wydała. Słowa te poruszyły coś, co każda z nas nosiła w swej głębi, mniej lub więcej będąc tego świadomą.

Nigdy widoczniej i boleśniej niż wtedy, nie uderzyło mię to szczególne, przerażające, podobieństwo uczuć, które ludzie kryją w swej duszy, przekonani, że to ich wyłączna własność, a które są wspólnemi całemu światu. Cień ten pozostał już na naszem zebraniu do końca.

W ten to sposób przeszedł mi pierwszy dzień moich urodzin, po ukończeniu lat trzydziestu i nie chcę, by następny był doń podobnym. Pragnęłam cię tu mieć przy sobie, by się nie dać uwieść na nowo zwodniczym uczuciom, które kończą się skargą, rozżaleniem, a owszem stanąwszy od początku z pogodą na gruncie rzeczywistości, zdobyć się na potrzebną rezygnacyę i pomówić z tobą o wszystkiem co jest smutnem i przykrem, ale z czem trzeba się pogodzić, bo inaczej być nie może.

Ale ty nie obiecujesz mi swojego przyjazdu! Nie będę więc obchodzić moich urodzin, postaram się by się z tego powodu nie dostało zbytnio mojej ciotce, jakkolwiek muszę ci się przyznać, iż w ostatnich czasach, gdy się stałam tak niecierpliwą i drażliwą, mam niekiedy niepowstrzymaną chętkę do tego. Jest bo ona też niewypowiedzianie nudną ze swojem wiecznem zadowoleniem z życia takiego, jakiem ono jest, i nie mogę przemódz tego na sobie, by jej czasem nie dokuczyć, ale tym razem nie oprze się to na niej, bo postanowię sobie poprostu przez cały dzień nie wstawać z łóżka, nie płakać, jeżeli to będzie możliwem, spać tyle ile się tylko da i cieszyć się z tego, że nie mam jeszcze czterdziestu dwóch lat, chociaż kto to wie? Może to byłoby nierównie lepiej?

Nie! za nic, tego dnia nie przyjmę nikogo u siebie, a jeśliby się zjawiła która z moich znajomych, powiedzą jej wprost, że jestem chora. Nudzą mnie one tak, że niepodobna mi zrozumieć, jak mogła dotąd nie zwiędnąć również ich przyjaźń dla mnie.

Pisuję do ciebie strasznie długie listy, to także dowód zbliżającej się starości. Pisuje się po dwa, trzy, a nawet cztery arkusze przez parę lat po wyjściu z pensyi, potem nieznacznie objętość listów się zmniejsza, aż wreszcie nie ma czem nawet paru stronniczek zapełnić. Widzę więc iż wstępuję w nowy okres. Trzeba mi zwalczyć tę skłonność do gadulstwa, ale muszę ci wpierw opowiedzieć, iż w pewnym domu w sąsiedztwie odnowiłam wczoraj dawną znajomość. Był to młody Thorsen, czyli właściwiej mówiąc ten, który przed kilku laty był młodym Thorsenem, bo teraz zmienił się i postarzał tak jak i my wszystkie. Pamiętam, iż kochał się we mnie i zauważyłaś zapewne, że i ja też miałam pewną słabostkę do niego, zanim wyjechał na dłuższy czas do Szwecyi.

Poznał mnie odrazu i zbliżył się do mnie w dość komiczny sposób, krocząc z powagą szerokimi krokami i wyciągając brunatną swą prawicę, przynajmniej na półtora łokcia od siebie, ruchem takim, jakbyśmy byli starymi, wypróbowanymi przyjaciółmi, którzy po długiem, tęsknem oczekiwaniu spotkali się nareszcie. Wyglądał na coś pośredniego pomiędzy duchownym a osadnikiem w koloniach, zresztą wcale przyjemny z niego człowiek.. ucieszył mnie mocno widok siwych włosów, którymi jego czupryna i broda gęsto były usiane.

A! muszę ci podziękować za małą, moralną nauczkę, jaką mi dajesz, bym nie upadała na duchu, nie poddawała się czarnym myślom, melancholii i tęsknemu usposobieniu i t. d., i t. d. To tylko oczywisty dowód, że cię twój sędzia pokoju i troje bębnów zmienili o tyle, że już nie jesteś w stanie zrozumieć mnie i mnie podobnych. Nie może tu być nawet mowy o melancholii, rozpaczy i tego rodzaju tragicznych uczuciach.

Bądź spokojną, w dzisiejszych czasach rzeczy te praktykują się tylko w książkach, a jeśli ktoś jest nieszczęśliwym, jest on nim w najzwyklejszy, najpowszedniejszy sposób, bez cienia gwałtownych przejść i tragizmu, i to jest właśnie najnudniejszą stroną życia.

Co do mnie, nie jestem nawet nieszczęśliwą, tylko nie jestem szczęśliwą. Gdybym choć miała tę radość, by się módz czuć pogrążoną w rozpaczy i pragnąć z głębi duszy, aby to co jest, nie było wcale!... ależ ja nie patrzę na świat przez czarne okulary, tylko wszystko mi się szaro, szaro i wiecznie szaro przedstawia...

Pogoda jest stale okropną, deszcz naprzemiany z wiatrem, iście duńskie lato!...

Mój śliczny Châlet oblany, ochlapany od szczytu do podstaw, a ogród zasypuje nas co noc nową warstwą zżółkłych, martwych liści. Wstrętna jesień ma tylko to dobrego do siebie, że można pójść wcześniej spać i dzień przez to staje się krótszym.

Już pół do dziesiątej, dobranoc, moja droga.

Twoja i t. d.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NA TRONIE.

Bardzo niefortunnie wychodzi w pamiętnikach i wszelkich monografiach historycznych postać pierwszej żony Napoleona I-go.

Barras robi z niej kobietę wartości moralnej żadnej, lekkomyślną, bez charakteru, bez podstawowych pojęć etyki jakiejkolwiek—choćby nawet dowolnej dosyć i luźnej. Obecnie pan Turquan wydawszy dwutomowe dzieło zatytułowane: Jenerałowa Bonaparte, daje światu francuzkiemu nową sylwetkę tej kobiety w jednotomowej swojej pracy: „Cesarzowa Józefina."

Nie poprawia cesarzowa jenerałowej Bonaparte, ani wdowy po rojaliście Beauharnais. Wszędzie ta sama spaczona natura istoty chciwej stanowiska, wpływów i hołdów, marnotrawnej a próżniaczej kreolki. Zasługę jej całą stanowił wdzięk rysów i jakiś niby powab obejścia, którym czarowała wielu ludzi wpływowych swojej epoki. Z latami ubywało oczywiście tych powabów, a natomiast ukazywała się coraz jaskrawiej postać odrażająca istoty nieszczerej, przedajnej, pospolitej, która kłamała z nałogu i dla interesu—kłamała bez skrupułów zawsze i wszędzie.

Trzeba uwierzyć w to, że na przełomie pojęć dwóch stuleci — w epoce, kiedy ginął bez echa świat stary, a nowy nie zdołał jeszcze zdobyć się na doskonalsze typy niewieście—że tylko w takiej przejściowej chwili kobiety podobne do Józefiny Tacher de la Pagerie, mogły wywierać wpływ na umysły ludzi wybitnych.

Obok wyżyny takiej jak Bonaparte kobieta taka jak Józefina to ironia losu prawdziwa.

Pominiemy zupełnie to co było w życiu Józefiny bezpośrednio skandalicznego, bo i nie ma żadnej dobrej racyi rozmazywania upadków i nędzy kobiecej wogóle, a nadto ośmdziesiąt lat z górą dzieli nas od owej epoki, i z tej odległości, opierając się zwłaszcza na świadectwach ludzi takich jak Barras, nie rzuca się na żadną pamięć kobiecą niesławą degradującą ostatecznie. Dosyć charakterystycznem będzie, jeśli przytoczymy jeden z epizodów jej życia—ten mianowicie, który bezpośrednio poprzedził chwilę rozwodu.

Licho bardzo wychodzi tutaj Józefina. Ani to kobieta, ani żona, ani matka, ani monarchini. Czepia się oburącz tronu, nie gardzi żadnym środkiem, aby się na nim utrzymać, żadnymi wpływami i żadnem pośrednictwem. Intryguje, poniża się, grozi, prosi, kłamie. Niczego tam nie brak, ale godności kobiecej, poszanowania samej siebie i prawomyślności — ani pytaj. To kobieta jednem słowem, której nie dosyć było odsunięcia, to taka, co potrzebowała koniecznie być odepchniętą — odtrąconą.

Wiedziała dobrze o zamiarach męża, wiedziała, że już po zawarciu pokoju w Wiedniu próbował on negocyacyj w Petersburgu o zaślubienie księżniczki, któraby zbliżyła go z jedną z dynastyj panujących, znała ważność jaką przywiązywał do widoków potomka i ostatecznie powinna była zrozumieć, że to są względy, które u tego człowieka przemogą wszystko, a pomimo tego odsuwała tę myśl małodusznie, prosiła, błagała, nie zawahała się nawet przed komedyą kłamanego uczucia.

Dalecy jesteśmy od upatrywania w postępowaniu Napoleona wszystkich cech szlachetności. I ten wielki człowiek okazywał się tu wyjątkowo małym, i on poniżał się do wyszukiwania pretekstów, wywoływania kłótni pospolitych, ale bo też umysł Józefiny nie był z tych, do których się trafia jakimkolwiek argumentem podnioślejszej natury.

Kobieta była pospolita całkowicie, i nie sposób było zerwać z nią jak z kobietą wyższą. Dawano jej do zrozumienia żeby sobie poszła—nie chciała zrozumieć, próbowano układów a nawet targów—nie zgadzała się, bo czuła że jej nic blasku tego tronu zastąpić nie będzie mogło, a więc skoro przed jedną tylko siłą uledz mogła — użyto siły.

Wydawszy już z Wiednia architektowi tajemne polecenia o zarządzenie zmian w Fontainebleau polegających na skasowaniu komunikacyi między apartamentami cesarza i cesarzowej, wyrusza Napoleon ze stolicy Austryi, zawiadamiając małżonkę na godzinę przed wyjazdem swoim, aby go czekała w tej letniej rezydencyi. Było to właśnie tego rodzaju oznajmienie się, którego ona wcześniejszem przybyciem swojem w żaden sposób uprzedzić nie mogła. Powiodło się. Bonaparte nie zastaje Józefiny, gniewa się, udaje urażonego, rozpoczynają się swary, niechęci, wymówki, a to wszystko podnosi odezwanie się wielkiego kanclerza Cambacéres'a i ministra policyi Fouche'go przybyłych na audyencyą.

— Dlaczego — pyta Napoleon, — alarmowano się w Paryżu moją nieobecnością przedłużoną, dlaczego przesadzano niebezpieczeństwo sytuacyi? Czyż bezpośredniem następstwem mojej śmierci ma być rewolucya?

— Bardzo to naturalne, że naród niepokoi się myślą o niebezpieczeństwie na jakie naraża się panujący — odpowiada wielki kanclerz. — Jakkolwiek prawo uregulowało porządek dziedziczenia tronu, ponieważ nie ma następcy bezpośredniego, kraj nie może mieć ufności.

— Tembardziej dodaje Fouché, że ten porządek nie wymienia następcy imiennie; wszystko jest bez znaczenia w takim składzie rzeczy. Nie ma też pomiędzy marszałkami ani jednego, któryby na wypadek twojej śmierci Najjaśniejszy Panie, nie czuł się powołanym do rozporządzenia się tym spadkiem wakującym. To są wszystko wodzowie Aleksandra; każdemu z nich marzy się tron.

Odgadywali obydwaj myśl, która nurtowała w głowie monarchy i jako mistrze w dworackim kunszcie utrafili i tym razem jak nie można było lepiej. Napoleonowi potrzeba było w tej sprawie ulegać ciągle jakiemuś niby naciskowi okoliczności. Kanclerz państwa, minister policyi wskazują mu niebezpieczeństwo groźne — większego nacisku być nie może. Ta rozmowa, która na godzinę poprzedza spotkanie z Józefiną, podwyższa cierpkość wyrzutów za jej opóźnienie i oziębia chłód obejścia do stopnia potrzebnego małżonkowi, tak aby żadna serdeczniejsza wymiana myśli miejsca mieć nie mogła.

Józefina jest przerażona tym razem; widzi że katastrofa zbliża się do niej wielkim krokiem, pokazuje się też uległą odpowiednio do okoliczności, jest nieśmiała, lęka się swego cienia.

Napoleon ze swojej strony czuje, że odgrywa rolę niegodną siebie. Uledz nie może, ale go drażni to, że się znęca nad kobietą i czasami żal go ogarnia i litość jakaś. Pod takim obustronnym przymusem żyje dwór do połowy Listopada w Fontainebleau. Chwile te, które teraz przeżywa Józefina należą istotnie do bardzo ciężkich i dlatego przedłużanie ich małoduszne, i czepianie się każdej najzłudniejszej nadziei daje takie smutne świadectwo ubóztwa charakterowi tej kobiety.

Przed rokiem była tu jeszcze panią wszechwładną; odgadywano jej myśli, wyprzedzano skinienia, płaszczył się i korzył każdy, a dziś gdy w powietrzu zawisło widmo odsunięcia tej skazanej, odwracać się poczynają od niej, obrażają poufałością, nieledwie że lekceważeniem. Damy dworu, które niedawno nie śmiały usiąść w obecności cesarzowej, pozwalają sobie teraz nie słyszeć gdy ona mówi do której z nich, rozsiadają bez upoważnienia i prowadzą wesołe a hałaśliwe rozmowy z oficerami straży cesarzowej. Nicość moralna dworaków wychodzi tutaj w całej jaskrawości i dlatego niepojęty jest ten brak godności Józefiny, szukającej ciągle kompromisu z sytuacyą i z tą lichotą całą.

A szczególnie radzi sobie we wszystkiem ta kobieta, którą nie darmo nazwaliśmy pospolitą i niestylową w najwyższym stopniu. Przy mężu melancholizuje i odgrywa rolę ofiary, po za jego plecami rozwodzi żale swoje przed dostawcami, modystkami i kwiaciarkami, wtajemnicza ich w te arcana domowe najdelikatniejszej natury, skarży się i poniża. Ta ćma pasożytów i wyzyskiwaczy do dyskrecyi nie czuje się obowiązaną wcale, wreszcie nie pojmuje zupełnie co to jest dyskrecya. Obiega sobie tedy to wszystko Paryż, komentowanem jest w najniższych kółkach, ośmiesza i poniża dwór w sposób skandaliczny, i w tej formie ukazuje się oczom Napoleona w raportach ministra policyi.

Można zrozumieć, że go to doprowadzało do rozpaczy. Ale znowu następuje faza przełożeń łagodnych i serdecznych z jego strony. Józefina twierdzi, że nie tronu żałuje, ale że nie ma siły rozstać się z nim jako mężem. O ile on temu wierzy — trudno wiedzieć, ale jej mówi, że tu o sprawy stanu chodzi — nie o uczucie, i że tutaj głowa a nie serce decydować muszą.

Używa Napoleon jako pośrednika księcia Eugeniusza. Ten proponuje matce dożywotni dochód pięć milionów franków i rodzaj niezawisłości państwowej ze stolicą w Rzymie, który ma stanowić siedzibę przyszłą rozwiedzionej z mężem monarchini. Papieża nie było tam pod one czasy, a więc w tej stolicy rozpościerać się miała kobieta, o której taki Barras wyrażał się licho wie po jakiemu.

Zdumiewającem jest prawdziwie z jaką łatwością i bezwzględnością potrącał ten człowiek świat cały, i jak szybko decydowała się w jego głowie profanacya wszelka, byleby autorem jej był on sam.

Józefina wszelkim układom się opiera. Traktują z nią, a więc jest stroną w tej sprawie i jak mniema, bez jej przyzwolenia nic stanowczego zajść nie może. To dowodzi jakiego ciasnego umysłu kobietą była ta o której mówimy, skoro ją tyloletnie pożycie z Napoleonem nie nauczyło tego, że ten człowiek nieznał niepodobieństw, a tem mniej oporu. Dwór przenosi się na zimę do Tuilleries, a cesarz znudzony tą opozycyą dziecinną prawdziwie, powraca do swojej roli czychającego na sposobność męża, któremu potrzebny jest skandal domowy. O sposobność z Józefiną trudno nie było. Pomimo wieku, dziecinne zachcianki i nałóg frymarku właściwy kobietom pospolitym, nie opuszczały jej na chwilę, a wiedziała dobrze jak to jest wstrętne jej mężowi, i jak przytem ten mąż potrafi być nieubłaganym w druzgotaniu tego wszystkiego co mu się opiera. Szczególny czas wybrała, jak teraz przynajmniej, na próby z wyrozumiałością człowieka, który wyrozumiałym nie był nigdy.

Bardzo łatwo wreszcie pojąć, że nie po to jest się monarchą Francyi a nadto rozjemcą losów Europy, żeby doświadczać wszystkich tuzinkowych utrapień mieszczanina, który miał nieszczęście ożenić się niemądrze. Nie mógł też i Napoleon patrzeć chętnem okiem na to, że stroje cesarzowej szły w handel, aby służyć nie wiedzieć jakim kobietom, albo i na to także, że cesarzowa obwieszała się kosztownościami nabywanemi drogą tajemną, których pochodzenie bardzo zagadkowem być mogło. Tymczasem takich faktorek czy pośredniczek snuły się w Tuilleries roje całe, tak że Napoleon sam musiał wydawać rozkazy wyrzucania ich za drzwi, a Józefinie zakazał przyjmować ich u siebie. Zakazał, bo ta kobieta na tronie a nie do tronu, potrzebowała zakazu jak dziecko lub niewolnica, a jeszcze potem szukała zawsze dróg krętych, żeby obejść takie postanowienia.

I teraz oto podczas, gdy spełniać się ma jej przeznaczenie, ona nie zaprzestaje swego frymarku szpetnego, a pragnąc przeniknąć losy swoje, ucieka się do kabalarek i astrologów. Rozmyślnie wydaje Napoleon powracający przedwcześnie z polowania, rozkaz straży pałacowej, aby nie oznajmiała odgłosem bębnów jego przybycia, jak to zwykle miewało miejsce, wchodzi do apartamentów żony i zastaje tam jednę z faktorek, którą kazał niedawno zrzucić ze schodów a nadto jakieś indywiduum układające rzędem karty na stole.

— Kto jest ten człowiek? — pyta cesarz.

Obecny znając drażliwość sytuacyi ośmieszającej monarchę, sam wymienia nazwisko swoje. Jest to Herman — mędrzec, astrolog, wróżbita, a jak raporta policyi twierdzą agent angielski, który miał jakieś tajemne — bardzo dla cesarza Francyi niebezpieczne, a w tym samym stopniu niezaszczytne dla rządu angielskiego, polecenia.

Ten Herman odpowiada zuchwale, niemal wyzywająco.

Zapytana wprost Józefina powiada, że to pani Letycya przysłała ich oboje. Oczywiście Napoleon sprawdza nazajutrz, a pomimo, że pani de Remusat wysłana przez Józefinę błaga matkę cesarza, przez protekcyą księżny d'Abrantes aby ta potwierdziła kłamstwo, rzecz wydaje się, bo tu traf implikuje tego Hermana, który jest ni mniej ni więcej tylko nasłanym domniemanym mordercą.

Takich i tym podobnych scen i obrazów pełną jest praca pana Turquain. Co na tych szczegółach zyska historyczna prawda—trudno wiedzieć, bo i źródła z których płyną oskarżenia nie wszystkie są kryształowej czystości. To pewna jednak, że i ta, podobnie jak większość dzisiejszych monografij, szczególnie przygnębiające zostawia wrażenia.

Wszystko bo dzisiaj odarte z uroku, ściągnięte w błoto, niby gwoli tej prawdzie i ścisłości, a wnętrze życia prywatnego ludzi publicznych stanęło otworem i z niego zaspakaja się ciekawość nienasycona a często niezdrowa mass współczesnych. Jakąkolwiek jest prawda dotycząca tej postaci kobiecej, zdaje się niepodlegać wątpliwości, że nie zasługiwała ona na to, aby połączyć swoje losy z tem przeznaczeniem olbrzymiem.

A. S.

Przesądy Francyi współczesnej.

Obok tak zwanych „prawd naukowych" — zdobyczy cywilizacyi, przechowuje społeczeństwo każde mnóstwo wierzeń, którym napróżno nauka zaprzecza prawa bytu, napróżno rozum chłoszcze je biczem szyderstwa, chrzci mianem zabobonu lub przesądu, one żyją wciąż, i niby dziedzictwo prastare przechodzą z pokolenia na pokolenie. Nierzadko zdarza się, że ożywają nagle w umysłach, które przez długie lata wydawały się wolnymi zupełnie od tej tajemniczej spuścizny; nie odstręcza ich też trzeźwość pozytywizmu, ani sceptycyzm religijny. Przeciwnie, doświadczenie wykazało, że w głowach sceptyków i pozytywistów, przesąd wegetować może bardzo pomyślnie. Wysoki stopień oświaty ogólnej nie stanowi również dostatecznej tamy przeciw temu prądowi, płynącemu gdzieś z głębin przeszłości; zalewa on zarówno społeczeństwa najbardziej cywilizowane jak i pogrążone w ciemnocie. Francya np., Francya, jedna z pierwszych w pochodzie cywilizacyjnym, posiada spory zbiór zabobonnych wierzeń.

Niektóre przynależne niejako do gruntu, na którym wzrosły, stanowią własność jej niepodziel-

ną, inne wspólne wszystkim niemal ludom ziemi jaskrawiej występują w Paryżu, centrum cywilizacyi nowożytnego świata, niżeli gdzieindziej.

Fatalna trzynastka, nie ciesząca się i u nas, dobrą reputacyą, przejmuje zgrozą biesiadników, którzy właśnie w tej liczbie zgromadzili się u stołu.

Nigdy też gospodyni domu w Paryżu nie ośmieli się wykroczyć przeciw temu przesądowi wiedząc dobrze, że naraziłaby sobie z pewnością tego lub owego z pośród swoich gości.

Podobną obawę wzbudza Piątek. Wszystko wiedząca statystyka, nawet zabobon ująć potrafiła w cyfry. Wiadomo już tedy, że w Piątki wszelkie przedsiębiorstwa przewozowe (koleje, statki parowe i t. d.) sprzedają mniejszą ilość biletów niż w inne dni tygodnia. Zmniejszenie to występuje stale w stosunku 30 do 25 procent. Można też być pewnym, że w Piątek dostanie się miejsce w teatrze.

Liczba bowiem abonamentów na operę niższą jest w tym dniu o 12 proc. niżeli w Poniedziałki i Środy.

Wstręt do nożów ułożonych na krzyż, do widelców leżących z łyżką pod kątem prostym, do rozsypanej na stole soli, do chleba obróconego powierzchnią spodnią do góry i t. p. spotykamy we wszystkich klasach paryzkiego społeczeństwa bez różnicy.

Przestąpienie miotły leżącej na ziemi, uważane jest za dowód wielkiego braku przezorności i t. d.

O zabobonności mieszkańców Paryża świadczy nadto niezmierna ilość wszelkiego rodzaju wróżek, kabalarek, sonnambulistek i t. p. Charakterystycznem też jest, że właśnie w pismach przeznaczonych dla sfer najwyższych i najbogatszych, osoby oddające się któremuś z tych tajemniczych fachów, najchętniej pomieszczają swoje ogłoszenia. Naturalnie największem powodzeniem cieszą się te, które zebrawszy już spory kapitał, są w stanie wynająć apartament od ulicy, trzymać u drzwi lokaja, i operować z pomocą lekarza-magnetyzera. Taka pierwszorzędna wróżka odwiedzaną bywa przez tłumy kobiet i mężczyzn wielkich dam i wielkich panów.

Zwolennicy, a zwłaszcza zwolenniczki kabały, często bardzo obchodzą się bez pomocy osób fachowych.

Nie trudno dać sobie radę z tym rodzajem wróżbiarstwa; obowiązują tu niezmierne prawidła, które poznawszy, można już sobie i drugim kłaść kabały. Są osoby, którym taki lub owaki układ kart wytyka drogę postępowania. Znaną jest historya pewnej staruszki, która stawiona przed policyą poprawczą za uderzenie sąsiadki, wykrzyknęła głośno: „Wiem, że będę uwięzioną, przepowiedziały mi to karty, ale dodały także, że nie na długo, i że powinnam zrobić to co zrobiłam."

Ze wszystkich ciekawskich pragnących zedrzeć zasłonę kryjącą tajemnice przyszłości, najnamiętniej wyciągają ku niej ręce wszelkiego rodzaju gracze.

Trudno o przesądniejszego człowieka, niż karciarz, bywa on częstokroć ofiarą nadziwaczniejszych uprzedzeń. Przedziurawiona sztuka monety jest dlań doskonałym talizmanem, zarówno jak plecy garbusa po których należy przeciągnąć ręką, zanim się usiądzie do kart i t. d.

Dotąd w pewnych sferach Paryża żyje pamięć garbatego posłańca zwanego „Bobosse", który przez lat 20 stawał wieczorami u drzwi klubów, pozwalając graczom pocierać ręce o swój garb. Proceder ten przynosił mu znaczne dochody. Smutno zakończył jednak biedaczysko. W roku 1883 znaleziono go w jego mieszkaniu na Montmartre wiszącego u sufitu. Pokazało się, że zamiast ograniczać się do swojej roli dobrego fetysza, grał sam, i przegrywał. A roztrwoniwszy tym sposobem po rozmaitych zaułkach niewielkie swoje fundusze, z rozpaczy odebrał sobie wreszcie życie. Nie pozostało po nim nic prócz postronka, na którym zawisł. Ale przyznać trzeba, że nie był to spadek bez wartości. Stryczek na którym zginął wisielec, jest jak wiadomo jednym z najcenniejszych talizmanów, cóż dopiero stryczek po wisielcu, który talizmanem sam był za życia.

Obawa przed „złemi oczami" przesąd przyniesiony z Włoch, jest także dosyć rozpowszechniony w Paryżu. Z pośród osobistości znanych, do bardzo groźnych „jettatorów" należał zmarły kompozytor Jakób Offenbach.

Gdy teraz opuszczając stolicę, przeniesiemy się na prowincyę, wpadniemy od razu w wir jednych od drugich dziwaczniejszych zabobonów. Oto niektóre:

Żadna z gospodyń wiejskich w pobliżu rogatek Paryża nie pozwoli kwoce usiąść na gnieździe w którem znajduje się nieparzysta liczba jaj. Grozi to podobno śmiercią biednej kurze. Gdyby zaś przypadkiem liczbą to miało być trzynaście, stałaby się rzecz straszna. Z trzynastego (?) jajka wydobyłby się wąż, który podusiłby wszystkie pisklęta.

W departamencie Eure, jednej z najbogatszych i najoświeceńszych okolic Francyi, znajduje się we wsi Pressagny mały kościołek, zbudowany pod wezwaniem ś-go Adalberta. Wewnątrz kościoła wznosi się kolosalna figura gipsowa, wyobrażająca świętego. Około połowy ośmnastego wieku rozeszła się była wieść, że gips ten utłuczony na proszek leczy choroby dziecinne. Od tego czasu kobiety z okolicy nieustannie stosując to lekarstwo tak okaleczyły posąg, że rąk brakuje mu w zupełności, a nogi grożą zawaleniem.

Bretania, stara ziemia druidów odznacza się największą ilością pięknych i poetycznych wierzeń. Tu każdy kamień ma swoją legendę, każde wzgórze lub źródło, swoje podanie. Tu wieśniak wracający późno do domu, widzi w blasku księżyca Elfy tańczące po wydmach piasczystych i słyszy ze wszystkich stron jęki i skargi dusz pokutniczych.

Chateaubriand przytacza jedną z takich ładnych legend bretońskich: Okrutny pan na Montfort sur Meu więził w swoim zamku dziewczynę nadzwyczajnej piękności. Prosiła ona ś-go Mikołaja, by ją ocalił, i rzeczywiście udało jej się wymknąć szczęśliwie; ale pan zamku nakazał pogoń za uciekającą. Gdy już słudzy jego mieli ją dosięgnąć, zaczęła rozglądać się w około, szukając zkądkolwiek pomocy. Napróżno. Cisza i pustka otaczały ją. Tylko po jeziorze pływało spokojnie stadko wędrownych cyranek. Dziewczę padło na kolana, i ptaki dzikie biorąc za świadków swej niewinności i niedoli, błagało świętego o opiekę. I tym razem ś-ty Mikołaj cudowną mocą swoją wyrwał ją z rąk prześladowców, ale w ciągu roku dziewczyna umarła.

Zapomniano już o niej, gdy 9 Maja w uroczystość ś-go Mikołaja wleciała do kościoła dzika cyranka, zatoczyła kilka kręgów w powietrzu naokoło posągu świętego patrona niewinności, i złożywszy u jego stóp pisklę swoje w ofierze, odleciała napowrót na jezioro.

Powiadają wieśniacy z Monfort, że od trzystu lat *ta sama* cyranka przylatuje co roku w te strony. Ukazuje się na chwilę, i znika.

Tą poetyczną powieścią zakończmy pobieżny nasz przegląd przesądów Francyi współczesnej.

Ciekawa rzecz doprawdy, co przyszłość z tego rodzaju wierzeniami uczyni?

Czy każe zniknąć zupełnie jednym, podczas gdy w drugich ziarnka prawdy się doszuka, czy wszystkie skaże na sen i zapomnienie?

F.

Wskazówki i rady.

DOŚWIADCZENIE.

Zamiast spirytusu do smalcu przy smażeniu faworków, włożyć kawałek surowego obranego chrzanu, który równie dobrze jak spirytus absorbuje odór tłuszczu.

Niektórzy kładą nawet surowy kartofel, ja jednak tego nie próbowałam.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою, Варшава 29 Января 1896 г. Druk Emila Skiwskiego, Warszawa. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. DODATEK.